



Przyjemna jazda statkiem — prawda?



Nasze wierszyki

Upały

Babcia mówi, że takiego czerwca
Nie pamięta, chociaż żyje długo.
Czwarty tydzień trzymają upały,
Jakby ogień lał się z nieba struga.
Janek z Władkiem, Kazikiem i Jurkiem
Przesiadują całe dni nad rzeką.
Boso chodzić po piasku nie można,
Tak odrazu wściekle nogi pieką.
Już im zlazła skóra z rąk i z pleców,
Twarze mają jak czerwonoskórzy,
Ale tak jest właśnie najprzyjemniej —
Wciąż się boją, czy się gdzie nie chmurzy.
Zwłaszcza Jurek, bo kiedyś wieczorem
Nie mógł usnąć i, gdy złany potem,
Wciąż przewracał się na różne strony,
Nagle z nudów zaczął myśleć o tem,
Coby było, gdyby się tak u nas
Zmienił klimat i gdyby przez cały
Rok, na Boże Narodzenie nawet,
Takie same były wciąż upały.
Strasznie mu się ta myśl podobala.
Mielibyśmy palmy i daktyle
I zaczęłyby się pewno lęgnąć
W rzecze wielkie czarne krokodyle.
I nie jakieś tam mizerne żmijki
Wypęłzałyby z nor na trawniki,
Jak to zdarza się czasami,
Lecz prawdziwe węże-grzechotniki.
Ludzie byłiby coraz czarniejsi
I zmienili się wreszcie w Murzynów,
I on, Jurek, dorósłszy, już miałby
Kędzierzawo-włosych, czarnych synów.
— Toby było dopiero zabawne —
Śmiał się Jurek i odtań wciąż marzy,
Że tak będzie naprawdę i bada,
Czy mu skóra czernieje na twarzy.

Na łące

STOKROTKA

Na łące, przy drodze,
łatwo mnie dziś spotkać.
Bielutko zakwitam,
zwe się stokrotka.

KACZENIEC

Na łące żyję mokrej,
na wodzie rosnę czystej —
nazywam się kaczeniec,
jestem żółto — złocisty.

FIOLEK

Ja ukrywam skromnie
wiosenne moje przyjsście.
Z wizytą idźcie do mnie
pod krzewy i pod liście.
Spokojnie patrzę
w niebo błękitne.
Zapach mam fiołkowy
i fiołkowo kwitnę.

RUMIANEK

Czyście mnie jeszcze
nie zrywały?
Jestem pół żółty,
a pół biały.

DMUCHAWIEC

Nikt nie jest taki
żółty na wiosnę!
Mnie wszędzie pełno,
bo wszędzie rosnę.
Dziś was nie czekam —
czekam jesieni,
aż się mój kwiatek
w lotny puch zmieni.

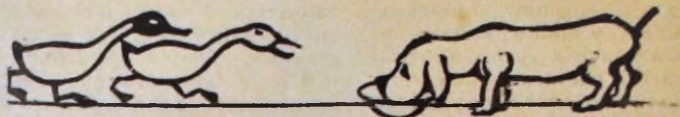
NIEZAPOMINAJKA

I ja na łące rosnę,
jestem siostrą kaczęca

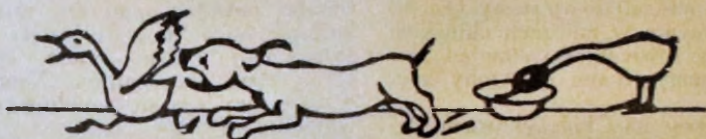
OSIOŁEK

Na zagonki do ogrodu
wozi wodę woziwoda.
Ma osiołka, kłapoucha,
co go zawsze pilnie słucha.
Mały wózek, dwa kółeczka,
a na wózku duża beczka.
Wody w beczce sześć konewek
dla kapusty, dla marchewek.
Wozić wodę, to nie żarty...
Gdyby osioł był uparty
i pracować nie chciał wcale,
wszystko zwiędłoby w upale.
Ciężka, ciężka z wodą beczka...
Pot się leje z osiołeczka...
Więc, by mocny był i tłusty,
damy mu liści z kapusty.

Wizyta kaczek u Pomidorka



Piesek Pomidorek, nie wiem jakiej
rasy,
ale na jedzenie to jest bardzo łasy.
Gdy pysk wsadzi w miske, zazdrośnie jej
strzeże,
gdv sie kto przybliży, wielka złość go
zbierze.



Stare kaczkzi znały tę jego przywarę
plątały mu figle, chociaż były stare.
Podchodzą raz blisko, klaniają się nisko.
złem okiem spogląda i rzuca się pisko.



Gdy za białą goni, to czarna je z miski
wiec za czarna pędzi, strasznej złości
bliski.
Ta go wiedzie w pole, tamta je ze
smakiem!...
Pies, wróciwszy, w misce zastał figę z
makiem.

Chińczycy — najlicznie

Ludzie i

Rozległe terytorjum Chin jest jednak zbyt ciasne dla 480 milionów mieszkańców, to też Chińczycy oddawna zmuszeni byli do emigrowania dla zarobku. Spotykało się ich bardzo wielu w Ameryce, na wyspach Oceanu Spokojnego i Indyjskiego oraz wzdłuż północnej granicy Chin, we wschodniej Syberji.

Mieszkałam przez wiele lat na pograniczu Rosji i Chin, miałam więc sposobność poznać ten ciekawy naród. Widziałam Chińczyków już przed wojną światową w miastach rosyjskich, gdzie zajmowali się handlem, mieli bardzo bogate sklepy z herbatą, jedwabiem, porcelaną i wyrobami z kości słoniowej. Patrzyłam na nich później, kiedy, obłożeni ogromnymi podatkami, jeden po drugim wyjeżdżali z Rosji i wracali do ojczyzny. Osiedli zresztą przeważnie w miastach chińskich blisko granicy sowieckiej i stamtąd prowadzili z przemytnikami ożywiony handel.

Nieraz patrząc na Chińczyków, myślałam sobie, że jednak nazywamy ich niewłaściwie rasą żółtą. Cera ich nie jest bowiem żółta, lecz oliwkowo szara. Wzrostu są średniego lub drobnego. Wysokich Chińczyków rzadko się spotyka. Oczy mają błyszczące, wąskie, czarne i skośne, kości policzkowe wystające. Na twarzy zarostu nie mają, natomiast noszą przeważnie czarne, jak kruk, warkocze. Przyznaje, że nasze europejskie poczucie piękna nie pozwala nam na nazwanie ich przystojnymi... Gdy patrzyłam na ich wojsko, miałam wrażenie, że ci żołnierze w granatowych mundurach, nowych i zgrabnych, to są statyszy w teatrze, a nie cząstka prawdziwej armji, ćwiczonej i musztrowanej przez angielskich instruktorów.

W codziennem obcowaniu Chińczycy są nadzwyczaj grzeczni i uprzejmi, lecz gdy ich się skrzywdzi lub obrazi, stają się nieraz grubiańscy. Wogóle w ich charakterze uderzały mnie dziwne kontrasty. Chytrzy, nadzwyczaj skryci, pamiętający latami każdą najmniejszą krzywdę, a co za tem idzie mściwi; z drugiej jednak strony dobroduszeni, weseli, lubiący bawić się z dziećmi i psami, opiekuńczy dla zwierząt domowych i ptaków.

Podziwiałem nieraz ich nadzwyczajną pracowitość, jeśli chodzi o pracę na roli.

To prawda, że w tym niezmiernie gęsto zaludnionym kraju nie mogliby wyżyć, gdyby każdy skrawek ziemi nie był wykorzystany. Ale też nigdzie w Europie nie widzi się tak starannie obrobionych pól, gdzie zboże się sadzi, jak kwiaty, i opiela. Nigdzie nie widzi się podobnych ogrodów warzywnych. Każdy krzaczek pomidorów podparty jest kilkunastoma paleczkami, każda główka kapusty odrana z liшек, każda roślina oddzielnie podlana, świeża, bujna, promieniejąca życiem.

Stosunki ich rodzinne są zupełnie odmiennie od naszych. Żony nie nie robią w domu, jedynie siedzą i wyszywają miśterne desenie na jedwabiu, robią sakiewki, torebki, pugilaresy. Pracę fizyczną i ruch utrudniają im zniekształcone nózki. Chodzą powolutko, ubrane w spodenki i kaftany szerokie z długimi rękawami. Włosy mają czarne, grube, spięte styłu głowy czerwoną szpilką. Nam, Europejczykom, wydają się zupełnie pozbawione wdzięku.

W domu wszystko robią wyłącznie mężczyźni: gotują, piorą, myją, prowadzą całe gospodarstwo. To też radzą sobie łatwo sami, bez żon. Gdy emigrują, zostawiają żony w domu pod opieką swoich rodziców. Gdy się dorobią, wracają dopiero do nich.

Chińczycy są w życiu codziennem przemysłni i praktyczni, a jednak umysł mają bardzo podatny do zawitych dociekań i kombinacyj. Zagadnienia religijne mało ich interesują. W duszy ich panują wszechwładnie pieniądź i interes, niezależnie od tego, czy są wyznawcami Buddy, czy Konfucjusza. Religijność ich sprowadza się do uroczystego świętowania Nowego Roku w styczniu.

Wtedy w każdym domu urządzają prozoryczny ołtarz, a na nim umieszczają obraz swego bóstwa w postaci Chińczyka z długimi wąsami, w spiczastej czapce na głowie. Rysunek jest na czerwonym tle, obok znajdują się na ścianach chińskie napisy i różne ozdoby z ponsowej biutylki. Pod wizerunkiem bóstwa stoi stół z woskowymi świeczkami. Święto zaczyna się wieczorem. Mieszkańcy ubierają się w jedwabne szaty i po krótkiej modlitwie siadają do stołu, gdzie w malenkich miseczkach stoją gorące potrawy i smakołyki chińskie, przeważnie tuste i słodkie.

ejszy naród na świecie

i zwyczaje

Jest przedewszystkiem wieprzowina w różnych postaciach, prócz tego są jarzyny, grzyby, owoce i „jan-fen”, czyli sałata z trawy morskiej.

Podczas świąt Nowego Roku ukazują się na ulicach chińskich miast korowody ze złoteni smokami w rękach. Odbywają się tańce z muzyką na bębnach i piszczalkach. Muzyka jest tak odrębna od naszej, wydaje nam się tak pierwotna i okropna, że przykro nam jej słuchać.

Malowniczy widok przedstawiają w ten dzień Chińczycy i Chinki, którzy chodzą po ulicach na szczydlach w rozmaitych przebraniach. Szczydła mają ukryte w ubraniu, ręce zupełnie swobodne. Centralnym punktem w religijności Chińczyków jest kult przodków. Chińczycy bowiem są przekonani, że nic w ich życiu stać się nie może bez udziału duchów ojca, dziada i dalszych przodków, to też przed każdym ważnym przedsięwzięciem radzą się ich, pogrążeńi w myślach, u stóp domowego ołtarza.

Zupełnie inaczej, niż my, ustosunkowują się do narodzin i śmierci. Gdy rodzi im się dziecko, pogrążeńi są w smutku, że na świat przybył nowy człowiek, aby na nim cierpieć. Ze śmiercią godzą się z filozoficznym spokojem, patrząc na fakt, dokonany bez wielkiego bólu.

Jeżeli bogaty Chińczyk ma przyjaciela, do którego jest szczerze przywiązany, to posyła mu jako najodpowiedniejszy podarunek piękną, rzeźbioną dębową trumnę. Trumnę tę obdarowany stawia zwykle w mieszkaniu na górze, gdzie się ją okurza starannie, dopóki jej właściciel nie umrze. Kolorami żałobnymi są żółty i biały, podczas gdy zwykle najczęściej noszone są w życiu codziennem niebieski i czarny.

Dla uzupełnienia charakterystyki Chińczyków trzeba jeszcze wspomnieć o ich medycynie. Niewiele ma ona wspólnego z medycyną europejską. Lekarze chińscy słabo znają anatomję i zupełnie nie uznają chirurgji. Podstawą ich jest pogląd, że istota ludzka składa się z czterech elementów. Przypomina nam to nauki średniowieczne, o których znajdujemy wzmianki i u naszego Reja, kiedy to opowiada w „Żywocie człowieka poczeiwego” o tem, jak to człowiek składa się

z „czterech wilgotności”. Według lekarzy chińskich te cztery elementy, to jest ziemia, woda, powietrze i ogień, powinny znajdować się w ciele ludzkim w pewnej harmonji. Gdy jest ona naruszona, a jednego z elementów znajduje się zbyt wiele, lub też zbyt mało, powstaje choroba. Jeżeli naprzykład człoikiem jest błądy, cierpi na głowę, znaczy to, że jest mało-krwisty i brak mu ognia. Leczyć go trzeba, dając mu subtelnie sproszkowany krzemień, który został utworzony przez działanie ognia. Wogóle medycyna chińska używa prawie wyłącznie leków pochodzenia mineralnego. Leki te medycy chińscy wyrabiają sami, używając sproszkowanych minerałów, które dają chorym bez recept i napisów. Do medycyny europejskiej lekarze chińscy odnoszą się z niedowierzaniem.

Stosunek Chińczyków do Europejczyków jest wogóle nieufny i wrogi. Wyczuwa się to wyraźnie w chińskich miastach, gdzie są i Europejczycy. Składa się ono zwykle z dwóch części. Jedną z nich jest dzielnica europejska. Są tam poselstwa w pięknych gmachach, naokoło nich staranne klomby kwiatowe, fontanny, drzewa, a wszędzie porządek i komfort. Zupełnie inaczej przedstawia się druga dzielnica, zamieszkała przez Chińczyków. Uliczki tam są wąskie, domki brudne i cuchnące, zaulki pełne nieczystości, podwórka niechlujne. W powietrzu unosi się wstrętny zapach smażonego oleju bobowego, a na ulicach pełno Chińczyków, obnażonych od pasa do głowy, i krzykliwych dzieci. Gdy się tam zabłąkają Europejczycy, witają ich wrogie spojżenia, drwiące uśmiechy. Na swej drodze słyszą oni ironiczne uwagi i wyczuwają atmosferę, pełną nienawiści. W miarę posuwania się włąb dzielnicy chińskiej, nastroj staje się coraz bardziej wrogi, to też Europejczyk traci ochotę zapuszczać się dalej i wycofuje się czemprędzej.

To samo czuje się nad Amurem na granicy rosyjskiej, w Sachalinie. O ile się chodzi po ulicach w kilka osób, tłum napozór zachowuje się obojętnie. Ale gdy człowiek znajdzie się sam jeden w chińskim sklepie, gdzie chwilowo niema kupujących, doznaje bardzo nie milego uczucia. Wyczuwa się w powietrzu nieuchwytną wrogość.

Dwudziestu kilku chłopaków roilo się jak pszczoły po stopniach, pod oknami i w rozwartych oknach przedziałów.

Tyłu chłopaków! Tyłu dziarskich, wesółych towarzyszków!

Jedynak Zygmus zapomniiał nagle o swoim strachu przed gromadą. Nie czuje już prawie ciężaru plecaka i puszcza się klusem w tamtą stronę.

— Oho! jeszcze jeden do nas! Jeszcze jeden! Hura! — wołają chłopcy i machają czapkami.

Zygmus aż pokraśniał z uciechy, że go tak tutaj radośnie witają, a wtem... jakiś gruby, puciołowaty chłopak, którego koledzy trzymali za nogi, bo tak się cały wychyla z okna wagonu, wrzasnął na całe gardło:

— Chodźno tu, nowy, chodź! Przydasz nam się na wsi za stracha na wróble!

Zygmus stanął, jakby go kto z miejsca zimną wodą oblał.

Chłopak w oknie wykrzywił się pociesznie i krzyczał dalej:

— Ach! Ach! Ach!

Strach na wróble idzie! Strach! — Gromada gruchnęła śmiechem.

Co prawda, to chudziutkie ręce i nogi biednego Zygmunia mogły przypominać patyczki, a wielki, stary słonkowy kapeluszy ojca, w jaki umyślnie na wieś wystroila go matka, wyglądał rzeczywiście zabawnie.

— Patrzcie... patrzcie!... „Nowy“ — „Strach na wróble“! Hihih! — bieгло po całym wagonie i dokoła wagonu.

Zygmus ze łzami w oczach obejrzał się na matkę.

Słabowity jedynak nie przywykł sam sobie radzić!

Ale matka zajęta była rozmową z panem wychowawcą i nie mogła wiedzieć, co się działo obok.

Biednemu Zygmunowi nie na żarty zaczęła trząść się broda.

Dojrzał to wnet ów kpiarz z okna i dalej wykrzykiwać:

— Mee, cielátko, mee!

Do domu się chceee? —

I gromadka chłopców gruchnęła śmiechem po raz drugi.

Tego już było zanadto. Zygmus obladał i zacisnął wątle piątki.

Niech będzie, co chce — zwali w nos tego wstrętnego grubasa!

I poskoczył ku schodkom wagonu. Nim jednak chwycił za żelazną poręcz, ktoś śpiesznie zagadnął go z boku:

— Chcesz już zająć sobie miejsce w środku? Za ciężko ci będzie drapać się z tym wypchanym plecakiem.

Ten głos wydał się Zygmunowi znajomy. Obrócił się więc Zygmus i zobaczył wesolego chłopca w harcerskiej zielonej bluzie i granatowych spodenkach. Poznał go odrazu: to jest Tomek Modroń! To ten harcerzyk, który jemu i mamie pomagał wtedy schodzić od doktora!

A Tomek Modroń mówił dalej, jakby nic z tego, co było przed chwilą, nie słyszał, jakby się nawet nie domyślał, poco Zygmus wdziera się do środka wagonu:

— I stopień tu dla ciebie troszkę za wysoki. Czekażcie... Ej! — krzyknął wesolo — Ej! Władek! Ty, siłacz! A pomóż nowemu wejść do środka! Ja go pchnę z dołu, a ty ciągnij do góry!

O dziwo! Zygmus widzi, że na te słowa Tomka, ów kpiarz zeskakuje z okna i idzie szybko tutaj, do Zygmunia, z przyjaźnie wyciągniętą ręką...

— No, gramol się, mały! — powiada zachęcająco.

Zygmus z podziwu otworzył usta i oczy.

Śmieje się Tomek z tego i komenduje:

— Hop! siup!

Ani się Zygmus obejrzał, jak go coś pchnęło z dołu, coś szarpnęło z góry i... Zygmus już w wagonie.

Jakże teraz palnąć w nos tego, kto pomaga?

— Dzię... dzie... Dziękuję... — krztusi oszolomiony, i sam nie wie, komu właściwie dziękuję: Tomkowi, który tak mądrze wszystko urządził, czy temu Władkowi, który ze złośliwego kpiarza okazał się mocnym, uczynnym kolegą? Obydwum chyba.

Nie będzie Zygmunowi źle wśród takich chłopców.

— Tylko naprawdę zaraz pierwszego dnia muszę utyc, żeby nie być jak patyk — postanawia sobie w duchu Zygmus.

A tymczasem podchodzi mama, żeby się ze swym jedynakiem pożegnać. Pożegnają się na długo! Pożegnają się na całe dwa miesiące!

Ścisną się więc mocno. Całują się dużo razy.

Aż tu zegar na wieży dworcowej pokazał dziewiątą godzinę. Lokomotywa sapnęła. Wagony drgnęły. Pociąg ruszył z miejsca.

Proszę zgadnąć?

ZAGADKA

(przysłał G. Boczkowski)
Na polu się rodzi.
Zielone — gdy wschodzi.
złote — gdy dojrzeje.
Co rok to rolnik sieje

ZAGADKA

Stoi wędrowiec
u rozstajnych dróg.
Rozłożył ręce
dwie, trzy, lub więcej —
a nie ma wcale nóg.

ZAGADKA

Co to za ptak: pływa, nurkuje, woła:
tak, tak!
Ust nie ma, a dmucha
i nikogo nie słucha.

ZAGADKA-ZARCIK

Pod jakim krzakiem siedzi zając, gdy
deszcz pada?

ZAGADKA

Litera w literze —
ptak, nie ssące zwierzę!

ZAGADKA

Skrzydeł nie posiada,
lecz ptak to nieładzi:
ponad nami
wznosi szyję
i ze studni
wodę pije.

ŁAMIGŁÓWKA

Przez f dymek ze mnie leci.
Przez b słuchają mnie dzieci.
Przez cz jestem ptak nieduży
Przez j do jedzenia służy.



Skąd to znacie?



Brzeg uroczej Aizwiekste

Adres „Krasnoludków”: Redakcja „Nasze Życie”, Riga — Dzirnau 57. „Krasnoludki”
Drukarnia „RITI”, Riga, Dzirnau ielā Nr. 57.